

Opowieść bez imienia

Autor: Zodiak

Equestria zjednoczona pod berłem księżniczki Celestii.

///^^^\\

*Podczas długich lat swego panowania, Celestia zdołała pokonać wszystkich swoich wrogów...
Z wyjątkiem jednego...*

///^^^\\

Cztery setki doborowych łuczników z Goldern ustawiło się w dwóch szeregach.

Zachód słońca barwił horyzont na pomarańczowo, jak gdyby ogromny pożar trawił niebo. Reszta wielkiego błękitu pozostawała nietknięta, jedynie strzępy chmur leniwie mknęły gdzieś w dal, niesione wiatrem. Nic nie mąciło spokoju na pustym polu, panowała tu krystaliczna cisza. W oddali zakolysały się gałęzie samotnego i martwego dębu. Ale nic poza tym. Wszystko czekało.

Wtem, nagle, bez ostrzeżenia, zaatakowali.

Potworna fala niepowstrzymanej siły przetoczyła się przez pola, wznecając tumany kurzu. Wspaniałą ciszę zakłóciły, wręcz zamordowały, okrzyki bitewne i wojenne bębny. Żądza krwi rozbrzmiała w setkach, jeśli nie tysiącach gardeł. Horda chciała zabijać, horda chciała śmierci!

Na wzniesieniu rozbrzmiał rozkaz.

– Nałożyć strzały!

Adrenalina, napięcie, podniecenie i przede wszystkim strach towarzyszyły czterystu kucykom, kiedy przygotowywały się na nadejście wroga. Byli najlepsi, byli łucznikami z Goldern! Ale... to co nadchodziło... Ci z pierwszej linii, którzy mieli najlepszy widok na armię przeciwnika przełykali ślinę, klęli albo modlili się. Czasem wszystko na raz.

– Napiąć cięciwy!

Ziemia zaczęła drżeć, fala przeciwników zbliżała się z każdą chwilą. Zwykli żołdacy spanikowaliby, wypuściliby swoje strzały od razu, a potem jeszcze by uciekli. Ale nie ci tutaj! O nie! To byli zawodowcy, profesjonalści i mistrzowie w swoim fachu. Odrobina strachu to przecież nie wstyd, prawda? Niektórzy mówią, że to oznaka zdrowego rozsądku.

Tak czy inaczej, łucznicy z Goldern byli gotowi i czekali na rozkaz. Potem zwycięstwo to przecież tylko kwestia czasu. Wiatr szumiał, słońce zachodziło, krew wrzała w żołnierzach Celestii.

– Strzelać!

Nareszcie!

Świst strzał przeszył powietrze i dziki wrzask pędzących wrogów. Następnym odgłosem, który wlał w serca kucyków nową nadzieję oraz umocnił w nich ducha walki, były ryki bólu konających. Widok załamującej się fali wzniosł morale prawie pod samo błękitne niebo. Kucyki krzyknęły radośnie, a łucznicy z Goldern ponownie naciągnęli cięciwy.

Najlepsi strzelcy w całej Equestrii pokazali się tego dnia z najlepszej strony. Ich zsynchronizowany i precyzyjny ostrzał zabił wielu wrogów, kucyki utrzymywały ich na dystans. Kolejni padali z rykiem, upuszczając broń, a każdy przybliżał słodkie zwycięstwo.

Tak przynajmniej mogło się zdawać...

Nawet... najlepsi z najlepszych, nawet łucznicy z Goldern, mimo iż podczas bitwy wspięli się na szczyt swoich możliwości... nie zdołali przechylić szali zwycięstwa. Wrogów było zbyt wielu, świst strzał nie mógł uciszyć ryku tysięcy gardeł, ani wojennych bębnow. Nic nie mogło stłumić żądz krwi.

Tamtego dnia łucznicy z Goldern zostali wybici co do jednego. Kiedy nieprzyjaciele wdarli się między szeregi wojsk księżniczki... stało się pewnym, że zwycięstwo było tylko ułudą. Szaleńcza fala niepowstrzymanej siły załapała kucyki i potopiła je w ich własnej krwi. Wśród ognia, dymu i śmierci, krzyki zwycięzców zagłuszyły jęki konających zwyciężonych.

Ostatnim widokiem, jaki zobaczyli żołnierze, był nieprzyjaciel, tryumfalnie wznoszący zakrwawiony topór.

///^^^\\

Wojna z minotaurami była krwawa i niezwykle kosztowna, a cenę za nią miała ponieść niewielka grupa skazańców. Księżniczka potrzebowała zaklętego oręża dla swojego wojska oraz różdżek dla swoich magów. Toteż wkrótce każdy przestępca, niezależnie od występku jaki popełnił, zmuszany był do pracy w kopalniach kryształów... w Canterlot.

Aby uniemożliwić im ucieczkę, księżniczka wysłała swych najpotężniejszych magów, by ci otoczyli kolonię karną magiczną barierą.

A ja... byłem jednym z nich...

///^^^\\

Niespodziewanie coś zakłóciło delikatną strukturę zaklęcia i... zostaliśmy uwięzieni przez nasze własne dzieło.

///^^^\\

Na dziedzińcu zamkowym panował chaos. Wyżsi rangą nawet nie zwracali uwagi na strażników porzucających swoje posterunki i stanowiska. Sami byli oszołomieni tym, co działo się nad ich głowami, a mieli do tego pełne prawo. Na niebie pojawiło się dwanaście jaśniejszych kul, które zmierzały do tego samego punktu, znajdującego się nad najwyższą wieżą w twierdzy. Wszystkie zostawiały za sobą magiczny ślad, jakby ktoś rozciął nieboskłon i utoczył jego błękitną krew. Już to wprawiało książęcych żołnierzy w zadumę, podziw lub strach. Zaś kolejne wydarzenie...

Ogromna eksplozja błękitnego światła na moment przyćmiła słońce, potem całe niebo pokryła skrząca się energia, jej wyładowania raz jaśniejsze, raz słabsze pojawiały się gdzieś tam, najczęściej tuż przy epicentrum. Niebieska fala zalała wszystko aż po górę, a potem... zaczęła rosnać! I rosnać i rosnać! Zdawało się, że nie będzie miała końca, że zniknie, albo przykryje cały świat!

Jednak zatrzymała się, wchłonawszy wcześniejsze krwawiące rany na niebie. Pod magiczną kopułą znalazła się góra, wielki las i kanion na południu, łąki na północy i część gór na wschodzie.

Strażnicy krzyczeli do siebie, wskazywali kopytami w górę i na horyzont, śmiali się i klęli. Nagłe i niespodziewane zjawisko pochłonęło ich uwagę na tyle, by dla części z nich stać się ostatnim widokiem w życiu. Jednym z takich kucyków był głównodowodzący na zamku. Zamyślony, poważny ogier w kwiecie wieku właśnie rozmyślał, czy to na pewno *tak* miało wyglądać.

Przecież to o wiele większy obszar niż kompleks kopalni i kwatera w starym zamku... Na miłość księżniczki, przecież to wygląda jak burza! Coś tu jest nie tak, coś...

Tej myśli nigdy nie dokończył. Kilof roztrzaskał mu czaszkę.

///^^^\\

Więźniowie błyskawicznie wykorzystali moment konsternacji. Canterlot wraz ze wszystkimi swoimi kopalniami znajdował się teraz w kopytach skazańców. Księżniczka nie miała wyboru. Musiała negocjować, potrzebowała kryształów. Miesiąc po miesiącu Celestia dostarczała nowym władcom kolonii wszystkiego, czego potrzebowali. Miesiąc po miesiącu otrzymywała od nich w zamian nowy bezcenny ładunek.

Aż do dziś...

Na skraj urwiska sprowadzona kolejną więźniarkę.

Nie wiedziała, co ją czeka... A to właśnie ona miała wszystko odmienić.

///^^^\\

– W imieniu jej wysokości, księżniczki Celestii, pani Equestrii, skazuję tą więźniarkę na...

– STAC!

To nie był krzyk, tylko rozkaz. Jeden z takich, które powodują chwilowe zatrzymanie serca. Sędzia – jednorożec w kolorze zeschłej trawy, podkrążonych nijakich ślepiach, ubrany w kretyński żółty kaftan i jeszcze bardziej kretyński kapelusz – przerwał czytanie mojego wyroku i stanął jak na baczność, po czym zwrócił niezwykle oburzone spojrzenie na prowodyra zakłóceń.

Tym okazał się, co było zaskoczeniem nawet dla mnie, jeden z kapłanów Innosa. Ogier o blado bordowej maści i siwiejącej już czarnej grzywie zbliżał się do nas szybkim, energicznym krokiem, właściwym raczej dla wojskowych. Dwójka strażników po moich bokach wymieniła szybko spojrzenia, sędzia, natomiast, poczerwieniał na pysku ze złości. Iście widok upiększający tą paskudną chwilę.

Nie jestem nawet pewna, czy nie warto było tu skończyć, tylko po to, żeby zobaczyć, jak sędzia kraśnieje na mordzie. W rzeczy samej, stary, wyschnięty burak. Z krzaczastymi brwiami. Taki, którego ma się ochotę rozdeptać.

Niespodziewane pojawienie się maga samo w sobie było już dość... niezwykle. Ale dopiero jego kolejne słowa wywołały prawdziwe zdumienie.

– Więźniarko! Mam dla ciebie propozycję – zwrócił się do mnie i uniósł kopyto, w którym trzymał niewielki rulonik papieru. – Ten list MUSI dotrzeć do arcymistrza kręgu magów ognia!

I co jeszcze? Gdyby poprosił o odpowiedź... jak najbardziej. A tak? Za byle błahostkę zrzucali mnie do więzienia, z którego nie można uciec, skazywali na spędzenie reszty życia w kopalni kryształów, żebym zdechła z przemęczenia, głodu albo dała się komuś zabić? Wkurzenie sędziego było miłe, ale nie mam zamiaru nikomu niczego ułatwiać.

– Marnujesz czas.

Kapłan popatrzył na mnie przez chwilę badawczym spojrzeniem.

– Sama będziesz mogła wybrać sobie nagrodę. Magowie dadzą ci wszystko, czego zarządzasz.

Wszystko? “Wszystko” to bardzo miłe słowo! Ale ile w tym prawdy? Z drugiej strony... Bariera była magiczna, więc logiczne, że jej zniszczenie, bądź przynajmniej obejście, wymagałoby właśnie magii. A ja z czarowaniem miałam mało wspólnego. Oprócz lewitacji potrafiłam co najwyżej rozpalić ogień! Tak więc pomoc magów mogłaby być... wysoce przydatna. Tak...

– Niech będzie – odparłam. – Zaniosę wasz, cenny list. Pod jednym warunkiem...

Jeszcze nie powiedziałam ostatniego słowa! W sytuacji patowej trzeba szukać wszelkich rozwiązań, a skoro stałam na skraju więzienia, z którego nie ma ucieczki, to chciałam zostać zamknięta na własnych warunkach. *Moje grzechy pozostaną kwestią mojego sumienia i nikt nie będzie ich rozgrzebywał, wyciągał i bił mnie nimi w twarz.* Sędzia był skończoną świnią i danie mu jakiegokolwiek satysfakcji poczytywałam sobie za ostateczną klęskę.

Ostanie słowo było MOJE!

Rzuciłam sędziemu wyprane z szacunku, bezczelne spojrzenie. Żółty kretyń, burak z krzacastymi brwiami wyglądał, jakby miał zaraz zagotować się ze złości. Był cień nadziei, że po tym, co miałam do powiedzenia żyłka mu pęknie i sukinsyn szcześnie.

– Oszczędźcie mi resztę tej paplaniny.

Nie znajduję odpowiednich słów, aby opisać, jak sędzia pokraśniał jeszcze bardziej. Starczy powiedzieć, że każdy, kto by go zobaczył z pewnością pomyślałby, że to naturalny kolor jego maści. Coś, co trzeba było w życiu zobaczyć. W każdym razie – moja śmiałość być może go nie zabiła, ale z pewnością zaowocowała srogim wyjściem z siebie.

– Jak śmiesz?! – wrzasnął, wykrzywiając twarz w grymasie furii.

– MILCZ! – odpowiedział mu mag, tym samym nie znoszącym sprzeciwu tonem, którego użył, żeby przerwać mu za pierwszym razem. Niestety, moje uciechy na tym się zakończyły. – Dobra, zrzucacie ją!

Dwójka strażników, która do tej pory cichutko stała po moich bokach, teraz chwyciła mnie za przednie nogi. Nie pamiętam ich twarzy, ani ras. Pamiętam, że był to ogier i klacz. Tyle. W pamięci utkwiły mi jeszcze ich zbroje. Pięknie wykonane, bogato zdobione, w złoto-czarnych barwach. Reprezentacyjne.

Wspomniałam, że nie zapamiętałam rasy? Wnioskując po sile, z jaką mnie unieśli, a potem cisnęli w dół urwiska, to chyba były kuce ziemne.

Najpierw uczucie bezwolnego spadania i całkowita bezradność opanowały moje ciało, serce zaczęło mi walić jak szalone, pierwsza myśl, jaka przeszła mi przez głowę była taka, że przy upadku skrucę sobie kark. Nie miałam czasu zastanawiać się nad czymkolwiek innym, ani kolonią, ani listem w kieszeni... Leciałam w dół na łeb na szyję i to się liczyło! No, a potem...

Potem weszłam w kontakt z barierą.

I... nie wiem, jak to opisać... Nie mogę nazwać tego doświadczenia ani przyjemnym, ani nieprzyjemnym. W całym ciele, od czubka głowy, aż po pęciny, czułam mrowienie. Niespecjalnie intensywne, ale dość odczuwalne. Ponadto przez moment zrobiło się zimno, tak na skórze, jak i... w środku. Jakby chłodne powietrze dostało się do moich trzewi. Kiedy już znalazłam się za barierą, ta odepchnęła mnie z niesamowitą siłą, jakby mnie troll pieprznął.

Dalej już poszło z górki... z urwiska.

Plusk!

Rześka woda od razu zlikwidowała uboczne efekty przekroczenia bariery. I to był jej jedyny plus, nienawidzę pływać! Jak tylko nacieszyłam się powrotem do stanu normalności, co trwało kilka

sekund, natychmiast zaczęłam kląć na czym świat stoi. Nie oszczędziłam nikogo, począwszy od króla, magów, sędziego, minotaurów, strażników, a na matkach ich wszystkich skończywszy. I jeszcze ten list... Skąd miałam wiedzieć, że to będzie tak wyglądać?! Kapłan Innosa też tego nie wiedział, inaczej nie dopuściłby, by mnie zrzucano. Zjechałabym sobie rampą, tak jak jedzenie, ubrania, broń, narzędzia, dziwki i inne niezbędne do przetrwania w kolonii artykuły.

Na szczęście ten... staw nie był zbyt duży, ani głęboki. Pierwszy haust powietrza i promienie słońca wpadające przez barierę stanowiły dla mnie małe zwycięstwo, chociaż widok tej drugiej przypominał raczej cierń w zadzie.

Dopłynięcie do brzegu nie zajęło mi dużo czasu. Potem padłam pyskiem na ziemię i cieszyłam się twardym gruntem. Niczym kuc ziemny! Mimo, iż było mokro, to przynajmniej teraz mogłam stanąć na nogi, wysuszyć się, usiąść, pomyśleć, zastanowić, co dalej...

Ale to nagle przerwały mi jakieś dźwięki. Podkutych kopyt, mianowicie. W moją stronę ktoś szedł, w zasadzie to kilku ktosiów. Wciąż miałam wodę w uszach, słabo słyszałam.

Nie tracąc czasu, cała brudna, podniosłam się ciężko. Najpierw zobaczyłam okute buty na nogach przede mną, potem czerwony, wytarty kropierz, a na nim czarny, skórzany kołnierz. Nie zauważyłam wówczas miecza przy pasie. Twarz ogiera, który nade mną stał była brudno szara, pełna bruzd, blizn i śladów mordobicia. Kuc ziemny uśmiechnął się, ukazując braki w uzębieniu, jego zimne, niebieskie oczy świdrowały mnie na wskroś.

Podał mi kopyto. Chwyciłam je, a on pociągnął mnie w górę, pomagając wstać.

– Witamy w kolonii – powiedział, a jego uśmiech nagle stał się bardzo, bardzo brzydki.

I nim się obejrzałam, z powrotem leżałam na ziemi, obficie krwawiąc z nosa. Zobaczyłam wszystkie gwiazdy, i wszystkich trzech bogów, którzy z jakiegoś powodu kiwali się na prawo i lewo. Ból był przytłaczający, przez chwilę nie istniało nic poza nim (no i bogami). Jak już doszłam do siebie, to do mnie z kolei doszło, że ktoś zaraz zrobi mi kuku. Zaciśnęłam zęby i chciałam zrobić... coś.

Cokolwiek! Ale to nie było konieczne.

Zza zasłony bólu, gwiazd i bogów, doszedł mnie niewyraźny, acz zdecydowanie ostry i rozkazujący głos. Byłam wtedy kompletnie zbита z tropu i jedyną pewną rzeczą stanowił fakt, że to nie ogier, od którego dostałam.

– Zostawcie ją! – warknął groźnie. – A teraz precz!

Chwilę później oglądałam już swojego wybawcę, stojąc na trzech nogach, a czwartą trzymając się z nos. Pegaz o nieco ciemnej maści i czarnej jak kruk grzywie oraz potężnych wąsach patrzył na mnie badawczo. Nosił dziwną, aczkolwiek praktycznie wyglądającą czerwoną zbroję, przy pasie miał miecz, a pod skrzydłem przytroczony elegancki, długi łuk. Grzywę spał, tak jak ja, w kucyk.

Sprawiał wrażenie osoby w sile wieku, nie potrafiłam też odczytać jego emocji. Zamyślenie? To chyba najtrafniejsza diagnoza.

– Nazywam się Death March – powiedział.

– Nazywam się... – zaczęłam.

– Nie interesuje mnie, jak się nazywasz – przerwał mi, spokojnie, choć bardzo zdecydowanie.
– Na razie jesteś tu nowa, a do mnie należy dbanie o nowych.

– To dlatego mi pomogłeś?

– Tak. Poza tym... potrzebowałaś pomocy. – Wzruszył skrzydłami. – No i, szczerze mówiąc, nie szedłem tu całej tej drogi tylko po to, żeby patrzeć, jak rozwalają ci czaszkę. Mam dla ciebie propozycję.

Byłam tam zaledwie kwadrans, a zdążyłam dostać w mordę i propozycję. Zapewne jedną z tych “nie do odrzucenia”. Kwadrans. A podobno kolonia to dożywotnie więzienie. Kwadrans! Bałam się pomyśleć, co stanie się w ciągu tygodnia!

– Propozycję? – spytałam nieufnie, wycierając krew kopytem.

– Tak. Po tym małym incydencie z Bull Eye’em powinnaś się domyślić, że sama za długo tu nie pożyjesz. – Death March poruszył wąsami i podrapał się po brodzie. – Widzisz... Kolonia dzieli się na trzy obozy. I prędzej czy później będziesz zmuszona w którymś zamieszkać. A ja jestem tu, by ci udowodnić, że chcesz osiedlić się w, tak zwanym, Starym Obozie.

– Starym Obozie? Co to za miejsce?

– To jedyny z trzech obozów, który utrzymuje kontakt ze światem zewnętrznym...

Tyle mi wystarczyło. Skoro magowie wymieniali korespondencję, to na pewno tam musiałam udać się z listem. Pozostawało tylko pytanie: gdzie dokładnie?

– A gdzie jest ten obóz? – zapytałam, wpadając Marchowi w słowo. Popatrzył na mnie dziwnie i znowu poruszył wąsami.

– Idź wzdłuż ścieżki – wskazał głową za siebie – a na pewno trafisz. Możesz też wrócić ze mną. W razie czego, jednak, nie będę ci przeszkadzał w ewentualnej próbie samobójstwa.

– Jasne! – przytaknęłam.

Death March odwrócił się i niespiesznie ruszył wspomnianą ścieżką. Ja rozejrzałam się jeszcze po okolicy. Obok stawu, do którego niewątpliwie trafiała większość skazanych, stała wielka rampa, a na niej kilka skrzynek. Nieopodal zauważyłam spore wagoniki, jakieś rusztowania i... masę

leżących wszędzie pojedynczych kryształków. Największe miały rozmiar rogu małego jednorożca. A księżniczka ponoć tak desperacko potrzebowała każdego?

Poszłam w końcu za Death Marchem, stanie tam mijało się z celem. Oto czekało na mnie nowe życie. Kompletnie inne niż dotychczas, nawet powietrze wydawało się jakieś takie... cięższe. Trawa była zdecydowanie bledsza, niezdrowa, żadnych drzew, dookoła straszna... cisza. Minęły dwa kwadranse, a ja zmierzałam w kierunku Starego Obozu u boku pegaza, który uratował mi życie i złożył propozycję nie do odrzucenia.

Taaak...

Czekało mnie tu mnóstwo zabawy.

I przynajmniej jedno morderstwo...

– Witamy w kolonii – mruknęłam pod nosem i ruszyłam drogą, przez bramę i w dół skarpy.